

Niebezpieczne związki: Obama i Bractwo Muzułmańskie

28 maja 2011

Zamieszczamy analizę relacji Baracka Obamy z Bractwem Muzułmańskim, krytyczną wobec wiary amerykańskiego prezydenta w możliwość wykorzystania islamistów do amerykańskich celów. Analiza została napisana przed ostatnim wystąpieniem Obamy na temat Bliskiego Wschodu, zachowuje jednak swoją aktualność.

Wysoki urzędnik w rządzie Obamy, zastrzegając sobie anonimowość zasugerował: „Nie powinniśmy się obawiać obecności islamu w polityce krajów arabskich”, zaś Ben Rhodes, zastępca doradcy do spraw obrony narodowej w Białym Domu powiedział dla Wall Street Journal: „To ciekawy zbieg okoliczności, że śmierć bin Ladena zbiega się w czasie z wyłonieniem się takiego modelu zmian w tamtym regionie, który jest całkowitym przeciwieństwem modelu bin Ladena”.

Sęk w tym, że ów rodzący się „model zmian” odbiegał będzie od oczekiwań rządu USA. Obama sądzi, że to, co się właśnie wydarza w świecie arabskim, jest powtórką z rewolucji demokratycznych, które przewinęły się przez Europę Wschodnią w 1989 roku. Jednak w świecie arabskim upadły tylko co bardziej umiarkowane reżimy, jak ten w Egipcie Mubaraka czy Bena Alego w Tunezji, podczas gdy pozostałe reżimy, które nie miały skrupułów by mordować swych własnych obywateli, stawiały silny opór. Zważywszy na brak silnej infrastruktury cywilnej, żadna rewolucja nie zastąpi konkretnych instytucji niezbędnych do umacniania demokracji.

Mimo to Obama od początku swego urzędowania zapatrzony jest w Bractwo Muzułmańskie i utrzymuje, że polityczny islam da się w pełni pogodzić z polityką demokracji. Jest to dość zaskakujące, zważywszy na liczne sondaże wskazujące na to, że blok islamistyczny w Egipcie prawdopodobnie przejmie władzę we

wrześniowych wyborach i połączy się z salafistami, którzy w kwestii islamu są jeszcze bardziej radykalni niż Bractwo Muzułmańskie. Nie osłabiło to jednak entuzjazmu Obamy, który będąc święcie przekonany o słuszności swego politycznego paradygmatu nie dostrzega nadchodzących niebezpieczeństw.

Jego nowy program przedstawiony został w 2009 roku, kiedy to w przemówieniu wygłoszonym na kairskim uniwersytecie Al-Azhar Obama wyraził wolę naprawienia rozłamu między Stanami Zjednoczonymi i światem arabskim, powołując się na „wspólne wartości obydwu światów” i wzywając do „świeżego spojrzenia” we wzajemnych stosunkach. Wkrótce rozpocznie nową inicjatywę pojednawczą opartą na przekonaniu, że śmierć bin-Ladena jest doskonałą okazją do tego, by radykalne ugrupowania islamistyczne przekuły miecze na lemiesze, przyjęły demokrację i zaniósł pochodnię wolności całemu światu arabskiemu. Co więcej, jak podają źródła wywiadu, w miejsce pozbawionych władzy przywódców prezydent Obama wybrał już „umiarkowane” Bractwo Muzułmańskie jako swego partnera w promowaniu interesów Ameryki w świecie arabskim. Wkrótce przekona się, że skorpioną można oswoić, ale nie sposób zmienić jego natury.

Determinacja, z jaką Obama realizuje ów szaleńczy plan, nie budzi zdziwienia jeśli weźmie się pod uwagę ostatni Wikileak, w którym mówi się o tym, że administracja Obamy na długo przed tak zwaną Arabską Wiosną 2011 roku potajemnie współpracowała z Bractwem Muzułmańskim w celu obalenia rządów Mubaraka. Już w pierwszych dniach demonstracji toczących się na placu Tahrir czy gdziekolwiek indziej w Egipcie, prezydent Obama wzywał do natychmiastowego odsunięcia Mubaraka od władzy – wypowiedź której unikał w przypadku Iranu czy Syrii, gdzie demonstracje trwały o wiele dłużej i były zdecydowanie krwawsze.

W nadchodzących miesiącach możemy się spodziewać, że prezydent Obama wyjdzie do świata arabskiego ze swoją utopijną wizją, iż śmierć bin Ladena zwiastuje koniec „starego porządku” i że powstania w Tunezji, Libii, Bahrajnie, Jemenie, Jordanie, Syrii i gdziekolwiek indziej w świecie arabskim przynoszą nową

i lepszą przyszłość całemu Bliskiemu Wschodowi.

Zasadniczym problemem takiego podejścia jest fakt, że u jego podstaw leży całkowite niezrozumienie plemiennego i religijnego wymiaru społeczności arabskich oraz tego, w jakim stopniu doktryna islamu politycznego stoi w sprzeczności z rozwiązaniem konfliktu arabsko-izraelskiego. Ponadto dochodzi do tego nieświadomość niebezpieczeństw związanych zawieraniem sojuszy z radykalnymi islamistami, których jedynym *raison d'être* jest ustanowienie powszechnego prawa szariatu na całym Bliskim Wschodzie i zniszczenie amerykańskich wpływów i interesów w tym regionie, w szczególności zaś Izraela.

Gdy wojsko islamskie zaczyna przejmować władzę w świecie arabskim, oczywistym staje się fakt, że to nie na śmierci bin Ladena zależało światu arabskiemu, lecz na propagowanej przez niego coraz większej dominacji islamu w krajach arabskich. Świadczą o tym przeprowadzane jedna za drugą ankiety. Według ostatnich badań Pew Research Centre ponad 70% Egipcjan poprze w nadchodzących wyborach Bractwo Muzułmańskie (podobnie jak Palestyńczycy opowiadali się za „umiarkowanym” Hamasem w Gazie w wyborach 2006 roku) podczas gdy ponad połowa badanych była za anulowaniem 30-letniego traktatu pokojowego między Egiptem a Izraelem. Będzie to miało doniosłe znaczenie dla przyszłej równowagi w tamtym regionie. Owi „umiarkowani” islamiści, których Obama tak chętnie lansuje jako animatorów zmian, mają swoje własne plany i przyczynią się do jeszcze większej, a nie mniejszej destabilizacji i radykalizmu w regionie.

Propozycjom Obamy przyświeca niezachwiane przekonanie, że jest on w stanie stworzyć bliskie związki z organizacją, która stara się jednak zniszczyć zachodnie wpływy na Bliskim Wschodzie, i która postrzega go jako użytecznego idiotę. Podobnie też Chomeini i sowieckie Politbiuro postrzegali prezydenta Cartera, gdy porzucił on przymierze z irańskim szachem podczas „demokratycznej” rewolucji irańskiej w 1979 roku, która przywróciła islamistów do władzy.

W styczniowym numerze Journal of International Security Affairs z 2011 roku Efraim Kahrsh napisał: „jeśli Ameryka jest dziś pogardzana w muzułmańskim świecie, to nie jest to wina przyjęcia przez nią określonej polityki. Winę ponosi tu fakt, że jako czołowe mocarstwo świata wciąż udaremnia ona ostateczne spełnienie się wielowiekowego marzenia islamistów o powszechnej islamskiej wspólnocie – ummie. Brak zrozumienia tego stanu rzeczy odpowiada za notoryczny brak sukcesów w polityce Obamy w kwestii Bliskiego Wschodu i świata muzułmańskiego. W gruncie rzeczy, zważywszy na to, że jawną racją istnienia Bractwa Muzułmańskiego jest krzewienie i ustanowienie prawa szariatu na całym świecie, wysiłki pojednawcze Obamy są dla członków Bractwa czymś nie tylko naiwnym, ale i niebezpiecznym. Przywódcy islamscy starają się usunąć wpływy Zachodu z rejonu Bliskiego Wschodu wszelkimi możliwymi sposobami, i to niekoniecznie poprzez głosowanie.

Porażkę owych praktyk pojednawczych widać wyraźnie na przykładzie Iranu, który pomimo wszelkich wysiłków Ameryki zmierzających do ułagodzenia i zadowolenia mułłów, i w konsekwencji do nałożenia na państwo określonych sankcji, wciąż stara się przechylić szalę ostatnich zamieszek na Bliskim Wschodzie na własną korzyść, wspiera szyitów i inne dysydenckie ugrupowania w Bahrajnie, Jemenie, Arabii Saudyjskiej i jest u progu zdobycia potencjału nuklearnego.

Saudyjczycy doszli do wniosku, że Ameryka jest „papierowym tygrysem” i w rezultacie wkroczyli zbrojnie do Bahrajnu i zaczęli dostarczać broń syryjskiej opozycji po to, aby zapobiec dalszej irańskiej destabilizacji tamtych krajów. Turcja odwróciła się od Zachodu i staje się coraz bardziej proislamska. Palestyńczycy stają się coraz bardziej nieprzejednani i niechętni do kompromisów, negocjacji czy ograniczenia akcji agitacyjnych. Wciąż obnoszą się z pokojowymi zobowiązaniami łączącymi ich z Izraelem i nie uznają go za niezależne państwo żydowskie. Libański rząd jest dziś skutecznie kontrolowany przez Hezbollah i Iran, zaś Syria

wciąż ułatwia transporty broni i terrorystów do Iraku i zacieśnia obopólne związki z Iranem, wykorzystując irański gaz łzawiący, milicję i sprzęt do walki z zamieszkami, by mordować syryjskich cywili demonstrujących przeciwko brutalnej dyktaturze Assada.

Możliwe, że prezydent Obama, podobnie jak Zbigniew Brzeziński (architekt sekretnej wojny USA w Afganistanie), wierzy, iż polityczny islam jest niepowstrzymaną siłą, którą Waszyngton może bezpiecznie wykorzystać, by przejąć kontrolę nad ropą i naturalnymi złożami gazu w Azji Centralnej. Jeśli tak, to jest on w błędzie. Jego polityka pojednawcza nie jest w stanie uciszyć islamskich ekstremistów, podobnie jak Chamberlain nie poradził sobie z nazizmem. O ile amerykańscy urzędnicy wreszcie to rozumieją, niepowodzenia Obamy w kwestii muzułmanów przynajmniej pozbawią go złudzeń.

Małe to jednak będzie pocieszenie po tym, jak stracimy cały Bliski Wschód.

Autor: Mark Silverberg

Tłumaczenie: Bart

Źródło oryginalne: [International Analyst Network](#)

Źródło polskie: [Euroislam](#)

O AUTORZE

Mark Silverberg jest analitykiem politycznym i publicystą, byłym dyrektorem Kanadyjskiego Kongresu Żydowskiego.